

żywienie zbiorowe

Jaja stuletnie

Najmodniejsze, dynamicznie
rozwijające się badania
interdyscyplinarne: *food studies*.
Zaserwują wam wiedzę o dowolnej
epoce, od kuchni

MAREK BIENČZYK

Szanghaj

Kiedyś to miało się marzenia. Pójść na koncert Stenów w Kongresowej. I pójść do restauracji „Szanghaj” na Marszałkowskiej. To pierwsze się nie spełniło, to drugie – ćwierć wieku później.

Ojciec był w latach 60. służbowo, dwa czy trzy razy. Jajko stuletnie i tak dalej; jego opowieści brzmiały fantastycznie, on stawał się Szeherazadą, a ja zauroczonym słuchaczem z klasy IIIa.

W marzeniu o „Szanghaju” nie byłem osamotniony; należałem już *in spe*, mimo szczenięcego wieku, do wzdychającej zbiorowości okularników, o której pisała Agnieszka Osiecka i śpiewała Sława Przybylska.

*Gnieźdzą się w akademiku, mają każdy po czajniku. I nie dla nich de volaje, i Paryże, i „Szanghaje”
I te pe, i te de, i te pe.*

Parę lat temu czytałem naukową pracę o poetach piosenki peerelowskiej; nie mogło w niej zabraknąć wzmianki o tamtym słynnym przeboju. Autor, tłumacząc jej tekst dzisiejszym czytelnikom, zauważał, że w gomulkowskich czasach nie można było wyjeżdżać za granicę, czy to do Pary-



ESEJ

Ślepa kuchnia. Jedzenie i ideologia w PRL

MONIKA MILEWSKA

Państwowy Instytut Wydawniczy

Warszawa

PREMIERA: 16 marca

za, czy na Daleki Wschód, gdyż paszporty w ustroju totalitarnym otrzymywało się w wyjątkowych tylko okolicznościach. Autor był młodym człowiekiem i umknął mu historyczny kontekst. Nie mógł sobie wyobrazić (być może czytał wersję tekstu bez cudzysłowu), że restauracja wyzwaliała podobne pragnienie co Paryż, i nie wiedział, że eleganckie garkuchnie warszawskie nosiły – niczym bohaterowie „Domu z papieru” – nazwy miast, „Szanghaj”, „Budapeszt” czy, na niższym poziomie baru samoobsługowego, „Praha”.

W wydanej właśnie książce „Ślepa kuchnia. Jedzenie i ideologia w PRL” Moniki Milewskiej „Szanghaj” wraca na swoje zasłużone miejsce. „Lokal wbrew nazwie specjalizował się nie w palących podniebienie przysmakach chińskiego południa, ale w znacznie łagodniejszej kuchni pekińskiej (...).



Bar „Pražský”, Warszawa 1978 r.

Gdy ochłodziły się stosunki polsko-chińskie, kucharze z »Szanghaju« musieli gotować orientalne dania bez oryginalnych przypraw i produktów”. Jednak i tak przez lata trudno było – podobnie jak w przypadku innych „luksusowych” restauracji – znaleźć wolny stolik. Wiele zależało od widzimisię kelnerów i cichego bohatera PRL-u – szatniarza.

Rzucili cytrusy

Kiedyś to się odechciało pomarańczy. Wczesne lata 80., zima, w sklepie dziki tłok, duszno, gorąco, tropikalnie: rzucili cytrusy. Kolejka zamienia się w chaotyczną, wielogłową masę. Starszy mężczyzna upada, umiera, pewnie serce, pomarańczy nie doczekał. Zawał ideologiczny: i gospodarczy, i kardiologiczny zarazem.

Książka Moniki Milewskiej należy do coraz modniejszych, dynamicznie rozwijających się także u nas *food studies*, dziedziny badań interdyscyplinarnych z pogranicza socjologii, historii, etnologii, polityki, literatury i sztuki. Wywodzą się one oczywiście z francuskiej szkoły Annales (Braudel i inni) opisującej historię od strony drobnych, powoli ewoluujących zjawisk, a nie od strony wielkich wydarzeń Historii.



FOT. ANDRZEJ WIERNICKI/FORUM



Związki jedzenia z ideologią w Polsce tylko przez krótki czas po upadku komuny mogły się wydawać zjawiskiem należącym do „minionej epoki”. Po pasywnych z tego punktu widzenia latach 90. w nowym stuleciu związki te wściekle się wzmocniły

Do wglębnienia się w dzieje PRL-u ten rodzaj badań wydaje się wyjątkowo przydatny. Pomyślmy choćby o słowie „mięso”. To słowo znaczy zupełnie co innego dzisiaj, niż znaczyło wtedy. Czy raczej należy powiedzieć, że dzisiaj znaczy mniej. Nie tylko dlatego, że coraz mniej ludzi chce mięso jeść. W latach 60. czy w stanie wojennym „mięso” nie odnosiło się tylko do fizycznego mięsa; powiedzieć je – mam wrażenie, że nawet jego wymowa była wówczas inna, bardziej dobitna, przedłużająca samogłoski – równało się wypowiedzeniu ironicznej i gorzkiej prawdy o tamtym świecie; słowo było psychofizyczne, konkretne i alegoryczne zarazem. Słyszeli to poeci, Adam Zagajewski napisał tomik „Sklepy mięsne”.

Oporządzenie Moniki Milewskiej jest naukowe i filozoficzne, Bourdieu, Marks, Lévi-Strauss i inni, lecz treść jak najbardziej codzienna; jeśli kogoś interesuje odległa już przeszłość (dla jednych wczorajsza, dla innych prehistoryczna), życie codzienne i kaloryczne w PRL-u, i zarazem głębokie mechanizmy jego istnienia, znajdzie tu mnóstwo materiału.

Przeszłość? Związki jedzenia z ideologią w Polsce tylko przez krótki czas po upadku komuny mogły się wydawać zjawiskiem wyłącznie hi-

żywienie zbiorowe

storycznym, należącym do tak zwanej minionej epoki. Po pasywnych z tego punktu widzenia latach 90. w nowym stuleciu związki te wściekle się wzmocniły.

Na całym świecie higienistycznie: troska o zdrowie zastąpiła troskę o zbawienie i nowej werwy nabrały idee wegańskie i inne (diety paleontologiczne, diety uważne na ślad węglowy, pragnące przemienić dominujący model żywienia, i te pe, i te de). A u nas ponadto politycznie, forsując podziały na swoich i nieswoich: urosło już do symboli ośmiorniczki (plus drogie wina) versus strawa polska (bigos, pierogi, bez wydziwiania) przed wyborami w 2015 r.

Nieco później wegetarianie i weganie (czyli lewactwo, w tym cykliści) versus prawdziwi mięsożerni Polacy.

Te i podobne przeciwstawienia zwiastowały nowe zideologizowane gadanie, które dla dzieci PRL-u pachniało znajomym smrodkiem. I które siłą rzeczy musiało doprowadzić w innych dziedzinach do takiego pomysłu jak ten ostatni o polonizacji muzyki w radiu. „Polska młodzież śpiewa polskie piosenki” i tylko polskich słucha. Czy ktoś pamięta to hasło? Ledwie sześćdziesiąt lat minęło, by rozbrzmiało od nowa. Ledwie pięćdziesiąt lat minęło od chwili, gdy Piotr Kaczkowski był zmuszony przez rok cały nadawać w „MiniMaxie” Skaldów i Czerwone Gitary zamiast Zepów. Wicie, rozumiecie. Historia powtarza się jako farsa, co było do udowodnienia.

Czy raczej należałoby powiedzieć: farsa powtarza się jako farsa. Bo też zebrane w „Ślepej kuchni” żywieniowe dyrektywy, rozporządzenia, nakazy, zwłaszcza z czasów Bieruta i, nieco mniej rygorystyczne, za Gomułki, nie mogą nie śmieszyć. Tyle a tyle mąki, tyle a tyle drożdży, od Bałtyku do Tatr. Nerwy Pierwszego Sekretarza/Gospodarza, że nie dość dobrze – Gomułka znalazł lepszą metodę – buraki zakiszono i krowy nie będą miały co jeść. No i ogólnokrajowe czy wojewódzkie postulaty: „należy poprawić jakość naparów z kawy” i te de, i te pe.

Jeszcze w roku 1957, pisze Milewska, obowiązywało „zarządzenie, na mocy którego wszystkie zakłady gastronomiczne, zarówno prywatne, jak państwowe, zobowiązano do wytwarzania potraw i napojów wyłącznie na podstawie zatwierdzonych przepisów kulinarnych. Listy przepisów nie były dziełem szefów kuchni, ustalały je prezydium wojewódzkich rad naukowych”. Odgórne receptury dla „placówek zbiorowego żywienia” obliczone co do grama stają się dziś kapitalną lekturą z pogranicza groteski i surrealizmu. Można by je z sukcesem wystawiać na scenie podrasowane przez Masłowską i przemieszane z dzisiejszymi wypowiedziami wicepremierów od gospodarki. Tylko nieprzyjemne wspomnienie o niekupionych pomarańczach – *pars pro toto* tylu makabrycznych zdarzeń (słynna afera mięsna zakończona pokazowym procesem i strykiem), strajków, kolejowej martyrologii – uzmysławia dodatkowo, tragicomiczny, a niekiedy po prostu pełen dramatów i tragedii wymiar tamtych czasów, tak głęboko kwestię wyżywienia naznaczający.

Absurdy trwały do końca czy niemal do końca PRL-u. Jak ten ze sprzedażą alkoholu od godziny trzynastej. Pal licho gorzałę; nawet lodów nie można było postawić dziewczynie (chłopakowi), gdyż zawierały odrobinę likieru advocat. Pamiętam to godzinne oczekiwanie na trzynastą tam-

tego dnia w kawiarni, milczenie, jakiego nie zdołały rozproszyć nawet żarty: komedia nonsensu zabarwiała się poczuciem całkowitej, odbierającej ochotę na cokolwiek bezradności, która rozlewała się na całe życie i była równie dotkliwa jak zbiorowe poczucie bezradności wobec władzy Wielkiego Brata.

Puszka z darów

Kiedyś to się kupowało. W tamtych delikatesach kilkanaście puszek ratatouille, niedawno do sklepu rzuconych. Zawiozło się je do profesor Janion, jej ulubione danie (szybko odgrzać i spokój); piętrzyły się obok stosu „Twórczości” niczym byt obok świadomości.

W *food studies*, jakie uprawia Monika Milewska, przytacza się dużo dokumentów, rozporządzeń i okólników, ale też konkretną rzeczywistość komuny rozpatruje się „powieściowo”. W takim sensie, że to bardziej przez „romans z konkretem” (Białoszewski) życia codziennego niż przez analizę politycznych działań ujawnia się faktyczny obraz tamtych czasów. Mówią o nim nie tyle posiedzenia Biura Politycznego czy wizyty Breżniewa, co widok ludzi maszerujących dumnie ulicami ze zwojami – niczym gustowne boa okręcone wokół szyi – zdobytego papieru toaletowego, czy matki wyjmującej w niedzielę z lodówki – niczym relikwię – dwa pomidory i ojca skrapiającego pomidorową sałatkę octem spirytusowym.

W „Życie jest gdzie indziej” Kundery młody Jaromil marnuje swoją pierwszą randkę erotyczną, gdyż wstydzi się rozebrać i pokazać dziewczynie swoje chińskie kalesony – owo ohydne, poźółkle, rzec można antykoncepcyjne ineksprymable, jakie w tamtych czasach mężczyźni całego bloku komunistycznego nosili gremialnie i ze wstrętem. Ta scena pokazuje realne drobiny życia w ustroju; powszechne mikrokonsekwencje czapy ideologicznej, które były naszym chlebem codziennym, rzeźbiarzem naszych wyobrażeń o istnieniu, mistrzem naszych zachowań.

Stąd potrzeba tak zwanej *oral history*, historii niezapisaney, opowiadanej przez świadków pamiętających szczegóły, wspominającej własne doświadczenia nie na ogólnej zasadzie: „ale, panie, ciężko było”, lecz wedle drobiazgów, które zostały w głowie.

Milewska sporo czerpie z takich świadectw, z wywiadów i jeszcze świeżych ankiet (osobiście doradzałbym też więcej literatury pięknej tamtych lat).

Jeden tylko przykład takiej „historii gadanej”. Działaczka pierwszej „Solidarności” wspomina stan wojenny i przesyłki z zagranicy: „Kiedyś w puszkach z napisem »sałatka jarzynowa« dostałam zapakowane w woreczki miniaturowe egzemplarze »Kultury« paryskiej. To były rzeczy, które realnie pomogły nam wywalczyć wolność”.

Moim zdaniem w tym akurat nie pomogły, pomogły zrozumieć co innego. Sam dostałem w stanie wojennym taką przesyłkę, puszki z fasolą i mięsem (czyli cassoulet). Otworzyłem je na kajakach, gdy łamiąc prawo, zatrzymaliśmy się na noc na poligonie wojskowym. Pierwszą reakcją, gdy wyciągnąłem zamiast potrawy książeczkę, było rozczarowanie; tak bardzo chciało się zjeść coś dobrego. Drugą był śmiech. Trzecią poczucie, że utkwił mi w środku historycznej kpiny, że dzieje po każdej stronie barykady igrają nami jak pileczką.

Sama autorka „Ślepej kuchni” jeszcze nieco PRL-u zdążyła liznąć, lecz opiera się przede wszystkim na przeżyciach ludzi od niej starszych. Powstrzymuję się, żeby jako świadek oralny nie okraszyć tamtych ton pochłoniętych kartofli skwar-kami własnych opowieści. Nie dlatego, by wtrącać swoje: „a ja pewnego razu”, lecz dlatego przede wszystkim, że podczas lektury książki Milewskiej można sobie uzmysłowić, z czego tak naprawdę składało się wówczas nasze życie: z tysięcy prób przeciśnięcia się przez wąskie gardło niemożliwości i z ciągłej dialektyki pragnienia (znacznie mocniejszego niż dzisiaj) i niespełnienia; okazji („jest okazja”, święta fraza PRL-u) i rozczarowania.

Lecz i z samego kartofla można było zrobić arcydziełko. Chyba łatwiej niż z sushi. Pod warunkiem że było to arcydziełko słowa:

*zza horyzontu ziemniaka
kto wygląda?*

*z tej strony
ja*

*to która strona
moja?*

*wyglądający!
moja kwadro!*

*rzecz
w tym
że
w środku
a w koło siebie*

*a każdy kto obiera się
dookoła niej
to równie
jego rzecz i ziemia
to równik obrany
obraniony
dookoła siebie
(Miron Białoszewski, Obierzyny 3)*

Wątróbka z kaszą

Kiedyś to się jadło. Ta wątróbka z kaszą gryczaną i buraczkami w barze samoobsługowym za Gierka. Pycha. Ta zupa grochowa w barze mlecznym na Siennickiej, jeszcze za Gomułki. Pycha. Był też deser: po wyjściu z baru gonił mnie nadgorliwy milicjant, bom miał za długie włosy. Udało się zwiać, grochówka dodała sił.

Tym, co wydaje się najciekawsze w rozmowie o tamtych latach, są nie tyle akcje, co reakcje. To znaczy nie tyle ideologiczne gadanie, rozporządzenia i okólniki, przeróżne rządowe działania, ile styl zachowań, jakie narzucają.

Jak dobrze wiemy, życie w socjalizmie, w Polsce zwłaszcza, rozdwajało się wyjątkowo mocno na dwa odrębne istnienia, to „oficjalne”, ideologiczne, państwowo-partyjne, i to „nieoficjalne”, fundamentalnie odmienne, wypracowujące własne zasady dla przetrwania w możliwie jak najlepszej postaci. Jin i jang komuny.

To pierwsze wyznaczało tamy, to drugie było wodą, która starała się tam, gdzie się dało, je ominąć. To pierwsze było sztywne, to drugie elastyczne, z plasteliny, do lepienia inaczej każdego

dnia. Paradoks tej dwoistości, którą każdy uprawiał, polegał na tym, że opływanie tamy, lepienie na różne sposoby własnej codzienności, było nie tylko potrzebą witalną, lecz i działaniem, jak by to rzec, „artystycznym”. W tym sensie, że wymagało pomysłowości, sprytu, ale także przynosiło pewną dozę gratisowej satysfakcji, jakiej dostarcza udane wykiwanie rzeczywistości, przerobienie jej na własną wersję, pokazanie figi władzy czy po prostu zdobycie tego, co jest do zdobycia tylko dla *happy few*.

Ileż małych zwycięstw i porażek w ciągu dnia się odnosiło; świeży schab się wystalo, ale banana dla dzieci już nie dało rady. Albo odwrotnie.

Antropologicznie rzecz ujmując, motoryka była wówczas inna. Bardziej mrówczana, intensywna, rozbiegana. Tłumne wyleganie na ulice, ciągle przemieszczanie się, węszenie. Wydeptywanie własnych ścieżek prowadzących do zdobycia czegoś, robota na całego, pilne zagospodarowywanie gruntu pod stopami, codzienne, skrzące uprawianie życia. Jak tak się nie da, to inaczej. Bo ciągle „coś trzeba było załatwić”. Genialność i dziwna energia tego wyrażenia nie przestaje do dzisiaj zadziwiać. Załatwić najpierw coś, a później siebie, chociażby połówką siwuchy.

Ale jest ale. Oralni świadkowie są też po to, by podważać wszelkie zbyt monolityczne opisy tamtych lat. Że wszędzie ideologia? Owszem. Że dzień w dzień koszmara i cierpienie albo choć niedosyt? Bynajmniej.

Nie było zbyt wiele do jedzenia, ale i było. Nie było wielkiego wyboru, ale i był. Niczego nie dawało się kupić, ale się kupiło. Bazary, towary spod lady, handelek. Knajpy źle zaopatrzone, ale jadało się do syta. Było źle, lecz było też bardzo dobrze. Bywało smutno, ale też było mnóstwo radości, także przy stole.

Bo też uczuć w naszym życiu jest mniej niż okoliczności. Te ostatnie mogą się mnożyć i zmieniać, czy to cielęcina kupiona przypadkiem, gdyż rzucili akurat do naszego sklepu, czy to szynka wystana w kolejce, czy to paczka od kuzyna w Niemczech, czy to – dzisiaj – najlepsza polędwica z angusa przywieziona przez kuriera. Czy to mały fiat na książeczkę po pięciu latach, czy – w 2020 – ford z salonu od ręki. Czy to Kabaret Starszych Panów, czy to serial z Netflixa.

Ale przyjemność (Białoszewski: „szare emnencje zachwyty”) jest zawsze podobna. Choć zapewne w tamtych dawnych przypadkach mocniejsza: huśtawki uczuciowe na dobre i na złe były wtedy większe niż dzisiaj, bardziej w dół i bardziej do góry.

Dressing

Kiedyś to się przyrządzało: śmietana z cukrem na zieloną sałatę, póty nie spróbowało się u dyplomatów, rodziców przyjaciela, dressingu śródziemnomorskiego, oliwa, balsamico, musztarda francuska.

Przez cały PRL, powiedzmy od roku 1956, trwały mentalne zapasy w głowach czynników decydujących. Schizofrenia porównania: nie być jak Zachód versus być jak Zachód. Kompletnie zrewolucjonizować kwestię żywieniową śladem Sowietów versus pokazać, że u nas też jest ciut Paryża i Londynu. Robić po swojemu, ale nosić w głowie Zachód. Zjeść ciastko i mieć ciastko.

Na przykład otworzyć wolny dostęp do półek. Jak pisze cytowana przez Milewską A. Szydłowska: „W roku 1962 z pompą otwarto warszawski SuperSam, pierwszy sklep samoobsługowy w Polsce urządzony na wzór zachodnich marketów. Finezyjne, wręcz spektakularne uło-

żenie towarów w misterne piramidy i stosy miało z jednej strony maskować mały wybór towarów (tysiąc puszek tej samej ryby w sosie pomidorowym), z drugiej zaś dawać wrażenie obfitości i czynić z samego przechadzania się po sklepie święto kupowania”.

Ostatecznie kryje się w tym niezdecydowaniu nasza schizofrenia dziejowa, którą ideologia wzmocniła i przekazała czasom po roku 1989. Być z Zachodu i być jednocześnie ze Wschodu, być dziwną rybą, której głowa zaczyna się za Bugiem, a nogi kończą przy Sekwanie. PRL wymyślił strategię licencji, czyli naśladownictwa, produkcji towarów wedle zachodnich metodologii, a gdy to się nie udało, strategię „identyczności z...” produktów zastępczo-podobnych. Wyrób czekoladopodobny, hamburger z pieczarkami, polo cockta i te pe, i te de. Podobni, ale samoswoi, jakby zagraniczni, ale tutejsi.

Dzisiaj widać, że te oksymorony wykraczają poza peerelowską praktykę żywieniową i są definicją naszego narodowego przeznaczenia.

Myślę o tym, ilekroć przypomina się danie dumnie serwowane pewnie już po stanie wojennym w jednej z lepszych knajp warszawskich: indyk z brzoskwinia. Klasyczne połączenie drobiu ze słodyczą, licencja odtworzona. Tyle że słodycz była z puszeki.

„Szanghaj”

No to się poszło do tego „Szanghaju”. Kolega ze Szwajcarii, który przejechał w 1981 roku popatrzyć na karnawał „Solidarności”, chciał spełnić moje marzenie i zaprosił. Podali jajko stuletnie, owszem. Nic takiego i ogólnie cienko. Konsument wyszedł rozczarowany, ryż źle ugotowany, cebula nadpalona, fuszerka marzenia i te pe, i te de. ●